

NIEDZIELA W MUSZYNIE

Był rok 1922. Sierpniowa niedziela w Muszynie. Właśnie skończyła się suma i ludzie zaczęli wychodzić z kościoła. Miły chłód wnętrza zamieniano na upał południa, ale od gór wiał chłodny wietrzyk, toteż nic nie mąciło uroku chwili tradycyjnego, cotygodniowego spotkania przyjaciół i znajomych. Wśród ludzkiej fali, wpływającej z kościoła, wytworzyły się jakby trzy nurty: grupa mieszczan, grupa kuracjuszy oraz „śmietanka towarzyska” miasta Muszyny. Panie w jasnych sukniach, w pantofelkach zapinanych na guziczki lub paseczki, w kapeluszach z kwiatami, z parasolkami w falbankach. Panowie w sztuczkowych spodniach, ciemnych lub jasnych surdutach, starsi w „jaskółkach”, melonikach lub kapeluszach „panama”. Więcej elegancji i wesołości widziało się wśród kuracjuszy, którzy przybywali z dalszych miast Polski, a więcej tradycyjnej stateczności oraz powściągliwości w grupie notabli muzyńskich. Tylko dzieci beztrząsco biegały wśród barwnego tłumu, nie bacząc na stan czy pozycję społeczną rodziców.

Przy furcie do plebańskiego ogrodu cztery małżeństwa rozmawiały ze sobą, czekając na wyjście z kościoła księdza proboszcza Józefa Gawora. Pani Barbara Zwoniczka opowiadała o swoim pobycie w Warszawie, o uroczystości odsłonięcia Pomnika Wdzięczności Stanom Zjednoczonym, dłuta Xawerego Dunikowskiego, o tym, jak miała okazję przyjrzeć się Naczelnikowi Państwa Józefowi Piłsudskiemu, jego żonie i córeczkom, a także wspianemu kompozytorowi i pianiście Ignacemu Paderewskiemu, którego darzył wielkim uznaniem i przyjaźnią prezydent Wilson, i który swoim gorącym patriotyzmem i niezwykłą osobowością tak bardzo przyczynił się do odzyskania naszej niepodległości.

Rozmowa pań przeszła wkrótce na temat: jak się warszawianki ubierają, jak piękne są wystawy sklepów i jak bogate ich wnętrza, np. u Hersego, czy u Braci Jabłkowskich na Brackiej. Panie podziwiałały duży, przybrany tiulem i różami kapelusz pani Barbary, tam właśnie kupiony. Co prawda pani radczyni Zofia Szurkowa uśmiechała się nieco, przysłaniając usta rączką w białej rękawiczce, gdyż pomyślała sobie, że jej najlepsza przyjaciółka Basia, prawdę powiedziawszy, wygląda w tym kapeluszu jak czupiradło.

Ale oto nadszedł ksiądz proboszcz, młody jeszcze, wysoki mężczyzna, i po przywitaniu zaprosił wszystkich na obiad na plebanie. Jednakże w tym momencie nadbiegła gospodyni księdza, młoda i obrotna Józia Baran (niedawno jeszcze pokojówka u pani Szurkowej, gdy ta przez pewien czas przebywała w Krakowie) i oznajmiła całą w wypiekach, powtarzając co chwilę „cajerączki”, że obiad będzie dopiero za godzinę, bo w kuchni dymi i „z braturą coś się porobiło”. Wobec tego ksiądz proboszcz zaprosił gości do ogrodu, pan naczelnik Stiiber poddał jednak inny projekt, a mianowicie, żeby udać się do źródła mineralnego, bo to zdrowo przed obiadem. Przyskoczyła do niego z radosnym okrzykiem mała córeczka Wandzia, ciesząc się z góry na „sodową wodę z bąbelkami”.

Całe towarzystwo ruszyło drogą wzdłuż Muszynki, rwącej górskiej rzeczki. Dzieci państwa Stiiberów, Zwoniczków, Szurków i Kalmusów pobiegły naprzód, by - po przejściu chybotałej kładki - jak najszybciej znaleźć się przy źródle. Dwie najmłodsze dziewczynki, Wandeczka Stuber i Janeczka Szurek, trzymały się swoich tatusiów, słusznie licząc na to, że panowie wezmą je na ręce. Rzeczywiście pan Stuber uniósł córeczkę i posadził ją sobie na ramionach. Uszczęśliwiona patrzyła teraz z góry na młodszą o rok Janeczkę, która, niesiona najpierw przez tatusia, przeszła wkrótce na ręce księdza proboszcza, swego chrzestnego ojca. Ksiądz dobrodziej nie pojął ambicji dziewczynki, która gorąco pragnęła wznieść się na poziom rywalki i ograniczył się do niesienia jej na ręku. Nachmurzona spoglądała niezbyt chętnie na swego chrzestnego, od czasu do czasu próbując kopnąć jego czarną sutannę.

Radcostwo Szurkowie od czterech lat nie mieszkali już w Muszynie, lecz w Kosowie na Pokuciu, gdzie inżynier Michał Szurek był nadleśniczym w lasach państwowych. Przyjechali do Muszyny tylko na kilka dni, na zaproszenie księdza Gawora, który koniecznie chciał zobaczyć swoją chrześniaczkę. Odnaleźli tu dawnych przyjaciół, panią Barbarę i jej męża, inżyniera Zwoniczka, który niedawno prowadził prace przy przedłużeniu linii kolejowej z Muszyny do Krynicy, a także poznali nowych znajomych księdza proboszcza: pana naczelnika stacji Stiibera z żoną i dziećmi oraz naczelnika poczty pana Kalmusa z rodziną.

Teraz wszyscy z wielkim zaciekawieniem i przejęciem słuchali opowiadania pana Michała o tym, jak przed czterema laty, gdy w Małopolsce Wschodniej „wybuchła” Ukraina, cudem niemal uszedł śmierci, gdy zaaresztowany z kilkoma Polakami, siedział w więzieniu w Kosowie. Wykonanie wyroku śmierci zapowiedziano więźniom na godzinę piątą rano, tymczasem o trzeciej w nocy wkroczyło do Kosowa wojsko rumuńskie, uwolniło więźniów i przepędziło „hajdamaków”.

Później rozmowa zesłała na ciężką sytuację w kraju. Pan naczelnik Kalmus i ksiądz proboszcz z troską opowiadali, że dziś za kwintal żyta można kupić co najwyżej 10 metrów taniego perkalu, albo 3 metry najtańszej ubraniowej wełny, albo dwie pary kiepskich butów. Ewentualnie można opłacić jeden dzień nauki dziecka w prywatnej szkole lub przejechać 20 km trzecią klasą pociągu osobowego. Niedługo odrodzony kraj obchodzić będzie czwartą rocznicę odzyskania wolności, a bieda w mieście i na wsi obejmuje coraz szersze warstwy ludności. Na pociechę pan naczelnik Stuber przekazał dobrą nowinę, dowiedział się bowiem z dobrze poinformowanych źródeł, iż Naczelnik Państwa Józef Piłsudski wysuwa kandydaturę profesora Narutowicza na pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Ale oto i źródło pysznej wody mineralnej, z której Muszyna słynie. Orzeźwione leczniczą wodą całe towarzystwo w dobrych humorach skierowało się z powrotem ku plebanii, a ksiądz Gawor z niepokojem spoglądał na swój srebrny duży zegarek na długim łańcuszku, obawiając się gniewu energicznej gospodyni Józji, że „państwo” się tak spóźniają.

Starsze dzieci znowu pobiegły przodem, a dwie najmłodsze dziewczynki, tym razem trzymając się rąk swych mamus, patrzyły na siebie w milczeniu. Ani przez chwilę nie przypuszczały, że za trzysta lat staną się serdecznymi koleżankami i razem

będą zdawać maturę w prywatnym gimnazjum Sióstr Urszulanek w Stanisławowie, a za siedemdziesiąt lat znajdują się przy tym samym źródle wody mineralnej w Muszynie, Wanda ze swym mężem Jerzym Tutajem, a Janina z serdecznie zaprzyjaźnioną panią Marysią Hylową z Piwnicznej, która przywiozła ich tutaj swoim samochodem, by mogły - na fali wspomnienia - sięgnąć pamięcią do najwcześniejszego dzieciństwa. Przyjechali z Wierchomli, z domu na Lisiej Górze, który ksiądz Gawor zapisał swego czasu w testamencie po połowie swojej chrześniaczce Janinie i gospodyni Józefie z Baranów Zawartkajowej.

Wieczne odpoczywanie wszystkim zmarłym, o których mowa w tym opowiadaniu i daj Boże zdrowie żyjącym.....

Drogiej Wandzie - na pamiątkę wycieczki do Muszyny w niedzielę 26 sierpnia 1992 roku -

Janina Szurek



Kościół parafialny pod wezwaniem św. Józefa w Muszynie (fot. J. Jarończyk)